11. czerwca. Nr. 17. Rok 1861

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Dominikańskiej Nr. 169. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt, półrocznie 2 zł. 20 cnt, ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

†

Dzień za dniem nikną najświetniejsze gwiazdy naszego narodu; blask ich promienisty przestaje oświecać mgły tułactwa i niedoli. Dnia 29 zeszłego miesiąca, o godzinie 7mej rano zmarł w Chrystusie **Joachim Lelewel**. Na obcej ziemi, w murach Paryża, oddał Bogu czystego ducha, oblekając serce narodu ciężkim kirem żałoby.

Urodzony w Warszawie 22 marca roku 1786, służył **Lelewel** przez pół wieku krwawą pracą nieszczęśliwej Ojczyźnie, ku jej szczęściu jedynie kierując siły olbrzymiego ducha i serca szlachetne zapędy. W Krzemieńcu, Warszawie i Wilnie, z profesorskich katedr siał zdrowe ziarno narodowe między młodem pokoleniem. I na bujną rolę padał ten zasiew i kiełkował w cichości, wznosząc drobne, młodzieńcze listki ku słońcu prawdy i ku gwiazdom nadziei. A skoro silny wyrósł i żylastą ręką jął targać narodowe pęta: wtedy i siewca nie cofnął kroku, lecz jako minister stanął z innymi na czele. Ale Opatrzność chciała, by czysta sprawa stała się najczystszą, niepokalaną w ogniach boleści, i skazał ją na dalszą pokutę: a wtedy skruszywszy kordy wyszli obrońcy w obczyznę i wyszedł z nimi zbolały minister.

To był **Lelewel**, mąż polityczny.

W obczyźnie, na czele rozbitków stanął wielki wygnaniec, i służąc im, podwoił mozolną pracę na polu badań historycznych, chcąc choć daleki służyć swej ziemi, podnosząc chwałę jej w świecie. Ogromem umiejętności i bystrością ducha zadziwił wnet obce kraje, jednając sobie i narodowi palmę nieśmiertelności, chwały i szacunku. To był **Lelewel**, mąż nauki.

A oto zwierzęca Rosya zlękła się duchowych zdobyczy i wpływów jakie one wywierały, i wnet tajemnie nurtując przyczyniła się do tego, że wielki uczony musiał opuścić Francyę, ojczyznę wszystkich rozbitków, i udać się do Belgyi. I tu w Brukseli pracował dalej powtórny wygnaniec, walcząc nieraz z nędzą i niedostatkiem. Wdzięczny naród wyciągał doń często rękę pomocną i obcy biegli mu na usługi, lecz **Lelewel** z nadludzką stałością i szlachetnością odrzucał wszelką pomoc prócz tej skromnej, którą mu własne, niewdzięczne przynosiły trudy. Przyjaciel książąt i pierwszych znakomitości europejskich, przynosił sobie sam chleb i wodę w dzbanku, i był tem większy od wszystkich posągowych postaci starożytnego świata. Bruksela i liczne akademye belgijskie składały mu hołdy podziwu, i szczere hołdy, bo naonczas nieznanego naszym wiekom szczytu dosięgał **Lelewel** swoim charakterem, jako **Lelewel** - człowiek!

Cześć Jego popiołom! Młodzieży módl się, byś mogła z łona swego wydać podobną Mu postać, Ojczyźnie na chwałę i żywot przyszłości! —

———

Imię i narodowość.

(Dokończenie.)

„Z szlachtą polską, polski lud!“ Tak jest, tak powiedział jeden z wielkich poetów w swych dziwnie pięknych „Psalmach“, może więc kto zgorszy się, gdy ja zechcę świętokradzką ręką rozebrać silne znaczenie tych słów. Lecz rzecz wielka i święta, czy w szacie czy bez szaty zostaje wielką i świętą! A tymci bardziej jestem zmuszony otworzyć myśl tego wiersza, gdyż chcę oprzeć na nim cały, odrębny system równouprawnienia, którego wielu zwolenników liczą herbowe rodziny.

„Z szlachtą polską, polski lud!“ — wołają ci postępowi szlachcice — my wszyscy równi, i chcemy równouprawnienia... lecz na podstawie szlacheckiej. Za nadto drogą jest nam duma rodowa, herb i tradycye, byśmy je mieli porzucać dla jakiejś według was zbawiennej myśli. My szczerze pragniemy podać rękę człowiekowi z gminu, a żeby już nie było żadnej między nami różnicy, to... dajcie i jemu herb i pergamin szlachecki! —

I cóżby się stało postępowi ludzie krwi, gdybyście ozdobili cały naród blachami i pergaminami? Oto konsekwencya żąda, iż budując na przeszłości, na imionach i na tradycyach, musielibyście powoli wywlekać zbutwiałe prawa i przywileje, które stanowi szlachty przysłużają, i zastosowując je do narodu, zrobilibyście zeń wrzeszczącą i szarpiącą się gromadę nadętych pęcherzy! A jeżeli herbami *dla samych herbów* chcecie obdarzać cały naród, bez przywiązanych do nich przywilejów: to na cóż dzieci ta próżna zabawka i ten koszt niepotrzebny? Zyskają tylko Niemcy lakiernicy, i zagraniczne fabryki żelaza, gdzieby wam misternie wyrobione armatury lano: a między wami zjawią się wnet szeregi obdartych i bosych apostołów głupstwa, na kształt hiszpańskich *hidalgosów*, o tuzinie imion i przydomków!

Wielki poeta był także szczerym i wiernym szlachcicem polskim, więc marzył o przewodnictwie szlachty nie jako panów, lecz jako starszej, kochającej braci. — Patrzcie! szlachta jedna cierpiała za kraj, szlachta jedna przelewała krew — woła poeta — szlachta jedna broniła tej ziemi, i za tyle zasług, za tyle cierpień ma-ż być dzisiaj pomijaną?

O mój słoneczny poeto! a ja gdy wspomnę na cierpienia ludu polskiego, to mi się rubinową krwią serce oblewa! Najlepszą wy część wzięliście dla siebie: was cierpienia wsławiały, robiły was bohaterami narodu, a gdy wam ginąć wypadało, toście mogli jeszcze jak umierający Cezar zarzucić na się togę powagi i majestatu. A wspomniej ty mój jasny śpiewaku na podłą niedolę w której jęczał lud polski, na sromotną hańbę która tak często jego była udziałem, na to cierpienie ciche, gdy Tatar krocie wiódł w jasyr, przytroczywszy niewiasty i dzieci do siodła? Większa to zasługa cierpień, większe to prawo do szczęścia i przewództwa.

Blady potomku hetmanów, podnieś wzrok twój na twarz polskiego kmiecia zoraną boleściami, niewolą i niedolą. O, jeżeli nie uczujesz wtedy wszystkiej żółci, wszystkiego żaru w piersiach na nieprawości dawnych wieków wspomnienie, jeżli ci wstyd nie zrumieni lica i trwoga jakaś nie ogarnie ducha; toś stracony i pogrzebany w popiołach przeszłości! Bo ta twarz jednego kmiecia polskiego, jedna smętna ludowa śpiewka: to ciężki, i goryczą swą zabijający wyrzut, co padł na twych przodków i na ciebie...

„Z ludem polskim polska szlachta, jako z ojcem syn!“ Niechaj herbowi z wyobrażeniami, z przekonaniami swemi naginają się ku ludowi jako powolne dziecię do miłującego rodzica, a trafią tam na czysty zdrój nowego życia, przy którym cały naród odmłodnieje; a niechaj na drodze oświaty podnoszą go zwolna i nieznacznie ku sobie, jak syn wykształcony a kochający prostaczka ojca swego: a wtedy wszystkie części będą silne, jędrne i zdrowe; będzie zdrowa, niepodzielna, nierozłączna jedność!

Idea życiu przewodnicząca jest treścią tego życia, jeśli ono nie ma być prostym, zwierzęcym materyi procesem. Idea życia narodowego jest treścią tego narodu; a gdzie zdrowy naród i jego części, tam idea życiu jego przewodnicząca musi być zdrową i silną. Ona jest wtedy spójnią, jedynym węzłem, głową i sercem narodu; koło niej jak koło jednego stołu niebieskiego szykuje się wszelka dziatwa narodu i ślubuje jej dozgonną wiarę, i przyjmuje duchową komunję na znak dozgonnej czystości narodowej.

A oto różne ideje, różne cele swego żywota mają narody na ziemi. Jedne dążą opanować burzliwe morza od krańca do krańca, i siecią handlu rzucić światu sposoby zaspokojenia swych potrzeb i używania rozkosznych wygód cielesnych; inne z latarnią oświaty torują sobie mozolnie drogę między ciemnościami innych, na pół dzikich narodów; a inne z pochodnią wolności w ręku idą kruszyć stolice tyranów, rzucając między narody płomienne światło swobody... Tak więc idea tworzy narody, spierając się jak na porfirowym piedestalu na wspólnej mowie, wspólnej ziemi i wspólnych obyczajach.

A cóż imię? Imię będzie wtedy tylko cyfrą, tylko znakiem symbolicznym na pewną jednostkę. A tem większy, tem świetniejszy jest ten symbol, im więcej zasług dla kraju, dla idei położonych uzacni tę jednostkę. I któż może dbać naonczas, czy ten znak symboliczny na ski, na r lub na x się kończy? Treść wtenczas stanowi o rzeczy nie czcza forma; nie imię lecz idea mówi o narodowości!

A więc podajcie ręce do zgody panie Bartoszu z Paprockiej Woli i mój księże Kasprze! I wasze dziwne imiona mogą być polskiemi, lecz niech ich ostatnim fundamentem nie będzie herb lecz idea. I w piersiach bezherbowych Vorainów, Vilandów i Walcerów może załomotać wolnemi skrzydły biały ptak, przewodnik burzami skołatanego okrętu; i oni mogą rozkrwawić serce żywym, gorącym rubinem, a oczy rozsuć łez perłami dla idei narodowej!...

Cicho, cicho psotniku rudziku! Rozkołysałeś mię bardzo swem swawolnem świegotaniem; a ty babko macierzanko spoiłaś piersi balsamiczną wonią! Grzeszy, kto dziś głowę do snu często kładnie: więc ja chcę by ten sen był ostatni. W myśl tych widzeń proroczych, które mi przez rozmarzoną przemykały duszę, siądę jak gryf skrzydlaty u sfer niebieskich mej idei narodowej, i bezsennością

nieśmiertelny będę czuwał nad każdem uderzeniem serca, co cicho, tajemnie a silnie w mej biednej ziemi kołacze.

Gwar zgodnej, braterskiej pracy niechaj zagości na tę ziemię, cały naród niech będzie jako zegar czuwający, na którym pan Bóg niewidomym palcem posuwa skazówki do kresu. Brzęk godziny zatamuje kiedyś każdego w jego codziennej trosce, a wyrosną mu orle skrzydła do wyższej pracy, do posługiwania idei narodowej.

Precz, precz imiona i blask ich stary; niech w miejsce ich stają gorące serca, olbrzymie duchy, własne zasługi! Próchno w nocy tylko świeci, a nam dzień, nam dzień jasny, i jeszcze jaśniejszych oczu czekamy w drzeniu niecierpliwości, by nam jak dwie promienne gwiazdy świeciły na drodze naszej idei. Na tych drżących śrebrnych promieniach zejdą kiedyś duchy przodków waszych, ludzie dawnej krwi i groźne, niełaskawe ukażą wam oblicze, jeźli będziecie powtarzać te błędy, którym oni prądem wieków popychani ulegać musieli. Łzami, krwią i potem nękanego ludu rzucą oni wam wtedy jakby żarem w oczy, mroźnym podmuchem wygaszą blaski gwiazd promiennych, rozedrą eterowe szaty na znak bezbrzeżnej boleści, a cofnąwszy wstecz cały naród, rzekną krwawemi usty i grobowym głosem: C z e k a j c i e!

1861. *Juliusz St.*

PRZEZ OGIEŃ W BLASK!

Jeśli widzicie że chłopiec-sokole
Wichrzy się, męczy, sam nie wie dla czego,
I w kruche serce wielkie wmawia bole,
I na świat patrzy jak na coś obcego:
O! wy nie mówcie, że on chwile młode,
W których myśl jego rozwija się w brzask
W marzeniach trawiąc, czyni sobie szkodę . . . .
— On idzie przez ogień w blask!

Jeśli widzicie że naród mniej winny
Od innych, walczy z przemocą i z nędzą,
Na jego ojców plwają — sam gościnny,
A jego dzieci od obcych wrót pędzą:
O! wy nie mówcie, że on w grób zapada
Niegodny oka bożego i łask . . . .
On Chrystusowi rośnie na sąsiada,
— On idzie przez ogień w blask!

Kornel Ujejski.

Dziewczę z Sącza,

rzecz mieszczańska z wojny szwedzkiej r. 1655.

Wierszem przez

Mieczysława Romanowskiego.

Lwów 1861.

(Dokończenie *).

Więc bohaterka utworu p. Romanowskiego rzeczywiście nie byłaby dość poetyczną? Sądzę, że nie jest tylko dość konwencyonalną dla zepsutego smaku. Śliczną jest ta prosta Basia mimo tego czyli raczej właśnie dla tego, że nie jest heroiną, że czuć w jej charakterze nie sztukę ale naturę, że kieruje nią instynkt i wiecznie mimo wiedzy falujące uczucie, że nie widać w niej medytującej kolizyi obowiązków bo ta nie do poezyi ale do etyki należy, nie widać samowiednej kolizyi uczuć, bo ta nie zgadza się z psychologiczną prawdą.

Prawdę miał nasz poeta na oku i w tem jedna z największych jego zasług. Nie wziąłbym stu deklamujących bohaterek za tę „Nimfę gadającą jak chłopka“, której duszyczka tak harmonijna a przecież tyle pozornych ma sprzeczności, która przed kapłanem w skrusze Lutra się wyrzeka a w następnej zaraz chwili strzałami przebudzona wybiega bez pamięci, bez celu, i ginie obok tego ukochanego Lutra, cicha, senna, tęczowa.

Poetyczne wrażenie całości podnosi się nieskończenie przez postać Bartka, „cieśli z cieślów sławnych“, który między siebie a Basię dzieli całe zajęcie czytelnika. Kocha on Basię a kocha ją niewzajemnie i wszystko co tylko ma miłość głęboka a wzgardzona, co ma cicha boleść i szarpiąca rozpacz, paląca zazdrość i zemsta, wszystko to żyje w poemacie p. Romanowskiego, wszystko to oddane z głęboką znajomością ludzkiej duszy, z całą prostotą i prawdą natury. Bartek nie należy do ludzi co to s i e b i e kochają (kochają się), on kocha Basię, kocha ją nie fantazyą, nie głową ale sercem, a miłość ta bezinteresowna i szlachetna opromienia każdą scenę i łagodzi każdy gwałtowniejszy wybuch. Ma już ciesielską swą bardą powalić szczęśliwego rywala, lecz zasłoniętego rękoma Basi i przypartego od innych

....własną bardą go zasłania,
I do mieszczanów obraca się z krzykiem:
„Stójcie, on jutro będzie katolikiem
Dla niej; ja ręczę!...“

Śmierć kochanki nie kruszy mu serca, bo serce cieśli kute ze spiżu; nie wyprawia go w mnichy ani nie wkłada mu w rękę samobójczego pistoletu, ale żaden pewnie Werter tak nie kochał, tak zranionego nie miał serca. — Dość czuć i rozumieć poezyą, aby między najpiękniejszemi reminiscencyami umieścić scenę w której Bartłomiej rzeźbi trumnę dla zmarłej kochanki, albo ustęp „Sam na sam“ i całą w ogólności tak prostą, tak szlachetną, tak sercową i wysoce moralną, jednem słowem tak piękną postać cieśli Bartłomieja.

Postać ta i pod innym jeszcze względem przyczynia się do podniesienia poematu. Powiedziałem już że Basia nie jest jeszcze Polką-obywatelką, a to samo odnosi się i do podrzędnych figur powieści. P. Romanowski pojął to że lud rzadko podnosi się dla idei, że potrzeba mu najczęściej indywidualnych, miejsowych pobudek aby się poruszył i że tak musiało być w dawnej Rzeczypospolitej, która według toku dziejowego niestety dopiero u schyłku mogła była pomyśleć o uprawnieniu ludu. Nie miłość ojczyny porusza zatem u p. Romanowskiego sandeckie mieszczaństwo, ale bezprawia, łupieztwa i nadużycia Szwedów i przywiązanie do wyssanej z mlekiem wiary nad którą się lutersey nieprzyjaciele znęcają. Trzeba jednak było Niemca Getego aby zostawić rzeczy w tym stanie i nic więcej nie okazać

*) W poprzednim numerze zaszło w tym artykule kilka omyłek druku, i tak w szpalcie 1. wierszu 21. powinno być *konetabla* a nie *konstabla*; w szpl. 2. w. 31. i 32. zamiast: *na przemijającym już wówczas zaborze ale knuli*, powinno być: *na przemijającym zaborze ale już wówczas knuli*; w szp. 3. w. 5. od dołu zamiast: *złączać walki* należy czytać *stączać walki*. P. R.

i nie wyprowadzić nad ten zaściankowo-egoistyczno-religijny patryotyzm. P. Romanowski złamał historyczne te trudności wlewając w Bartłomieja więcej rozumu i więcej serca. Przymioty te bez pomocy politycznych teoryi czynią Bartłomieja Polakiem. Czuć w poemacie jak jedna ta osobistość wpływa na uszlachetnienie całego ruchu; czuć jak ruch ten postępując sam przez się z miejscowego powstania podnosi się i stopniuje zwolna do godności czynu narodowego. Już chwilę przed powstaniem

. . . szedł z Jackiem Janusz do kościoła.
Stanęli, kornie pochylili czoła
Przy „Ave;“ potem krzyż zrobiwszy dłonią
Rzekł Janusz: „Hej — hej! w całej Polsce dzwonią!...
Zdaje mi się że w niej wszystkie dzwony słyszę!...

Po wyparciu Szwedów bohaterowie ruchu mimowiednie stają na wysokości chwili:

. . . . „Co tak Bóg zapali,
Na samym Sączu zagasnąć nie może“...
. . . .
„Wielkie tu dzieło poczęło się Panie!
I pójdzie dalej co gromem się stało“...

Zaledwie skończył Bartłomiej trumienkę dla swojej i nie-swojej Basi, pada wieść o poruszeniach Czarnieckiego:

„Więc za nim!“ Bartek zawołał do młodzi.
„Za nim! nad Polską nowe słońce wschodzi!“
Już nie nad Sączem, lecz nad Polską!

Jest w poemacie p. Romanowskiego inne jeszcze stopniowanie godne prawdziwego artysty, stopniowanie tonu i głosu. Zaczyna się rzecz jakąś świąteczną bezszelestną ciszą, w której powoli zaczyna przebijać coraz mocniej niepokój. Groźne tony rosną i rosną, aż powiązały się w gromową burzę, która niszczy najpiękniejsze kwiaty i kończy się zawieszoną na błękitach tęczą. —

Cóż więcej jeszcze wypada mi powiedzieć? Oto chyba że p. Romanowski widocznie nabiera daru plastyczności, że nie bawiąc się w archeologa i pedanta zachował wiernie ducha czasu a nawet zdarzenia dziejowe, że ton całości bardzo szczęśliwie dobrany, dykcya prosta a nie płaska, poetyczna a nie przesadna.

Ale bodaj to ten nieszczęsny narów krytyczny! Korci mnie powiedzieć coś o wadach poematu i zarzucić autorowi najmniejszą choćby drobnostkę aby dowieść, że nietylko chwalić ale i ganić potrafię. Kto szuka ten znajdzie. Powiem więc, że scena przy studni nie dorównywa innym pięknością i że w ogóle nasz autor nieszczęśliwą miłość lepiej maluje od szczęśliwej, że rzucone w powieść żartobliwe ustępy nie mają dość prawdziwego humoru, że po prześlicznej scenie przy trumnie rzecz nie dąży tak szybko do końca jakby sobie tego dla podniesienia efektu życzyć należało, że wierszowanie miejscami za mało staranne a język tu i ówdzie nie dość poprawny.

Ale dość już a nawet zanadto tych wytykań drobnych usterków. Nie chcę aby mój artykulik stał się podobnym do owych lekarskich recept, w których każda mocniejsza doza łagodzi się i równoważy przeciwną; nie chcę do utworu czucia i wyobraźni przykładać mikroskopu i przypatrywać się z bliska, czy piękna twarz „dziewczęcia z Sącza“ nie ma tu i ówdzie maleńkich piegów lub maleńkiej brodawki. Precz z tą pedancką ujemną estetyką, dla której pięknością jest to co nie sprzeciwia się temu lub owemu prawidłu, jak dla niektórych moralistów cnotą jest brak wad i grzechów. Pamiętam jak przed laty przechodząc z kolei rozmaite umysłowe fazy, pod wpływem Laharpa zaciągnąłem się w szeregi takich estetyków i pamiętam co mnie uzdrowiło. W maju, w porze zieloności i słowików wyjechałem na wieś, a wychowanemu sród murów i książek żywiej uderzyło serce, zwłaszcza że gospodarzem moim był jeden z najznakomitszych naszych poetów, który mnóstwo ma stron sympatycznych i w którym dwudziestoletnia wyobraźnia upatrywała namaszczonego strażnika narodowych świętości. — Zaczęliśmy raz mówić o pięknym poetyckim utworze, który podówczas ledwie co był się pojawił. Gospodarz mój pytał co sądzę o tym poemacie a młodziuchny arystarch odpowiedział mu poważnie, że według jego zdania utworowi temu nic nie można zarzucić. „Co do mnie zaś, rzecze na to dzierzawca - poeta,“ przysłali mi to dzieło właśnie w chwili kiedy miałem wyjść w pole. Z książką w ręku wyszedłem do robotników, a potem idąc krajem lasu czytałem i czytałem i nie mogłem się oderwać od czytania. Skończyłem ostatni wiersz i dopiero spojrzawszy w około siebie ujrzałem się pod miasteczkiem o którem wiesz, że leży ztąd o półtora mili. Nie mogłem się powstrzymać i serdecznem a pobożnem westchnieniem podziękowałem Bogu, że mi dał kilka godzin czystego użycia nieświadomej szczęśliwości.“

Czyż taka krytyka nie lepsza sto razy a nawet nie filozoficzniejsza od mego chłodnego: „nic nie ma do zarzucenia?“ Nie umiałbym wypowiedzieć, jak się uczułem zawstydzony przed samym sobą, jak zimną, starą, małoduszną, nieznośną wydała mi się moja estetyka!

Nie bawmy się więc w anatomów, nie krajmy żyjącego i żywotnego ciała, ale podziękujmy Bogu, że w utworze p. Romanowskiego pozwolił nam znaleźć to użycie i to podniesienie ducha, które tylko prawdziwa poezya dać może. —

Przechrzta,

napisal Elpidon.

I w śmierci waszej będzie zwycięztwo.

(Ciąg dalszy).

III.

Wieże kościołów Grenady kołyszą się od rozmachu jęczących dzwonów, ulicami ciągnie lud za miasto na szerokie pole i z zwierzęcem pragnieniem krwi czeka na pochód świętej inkwizycyi. Już słychać od bram miasta mnichów przeciągły śpiew, co śpiewa marsz grobowy skazanym ofiarom. Chorągwie szeleszczą smutno w powietrzu, a wśród chorągwi powiązanych żydów gromada. W czarnych szatach szpetnem malowaniem pomazanych idą ponurzy, bladzi,

a na drżących przed straszną śmiercią twarzach widać jeszcze gorzki szyderski uśmiech dla nabożnych sług krzyża. Już wyszli powoli za miasto i kiedy ujrzeli w dali narzędzia śmierci pobladli jeszcze bardziej, ale niewzruszona twarz arcykapłana co szedł przodem przed nimi, dała im znowu obojętność kamieni i pogardliwą dumę na czoła.

Wielki inkwizytor Tomasz z Torquemady dał znak — stanęli. I lud rozpoczął wielką modlitwę za konających niewiernych. Litośny! I wśród pogrzebowych śpiewów zapalono stosy i pędzono żydów w buchające bałwany ognia. W oczekiwaniu i przerażeniu urwano pieśń i nadsłuchują przedśmiertnych jęków konających. Próżno! żaden krzyk boleści nie rozradował dzikiego tłumu. Z płomieni wzbił się poważny psalm dla Jehowy, od którego pobladł wielki inkwizytor. I już skonały na stosach płomienie i zwęglałe szkielety na szerokiej popiołów pościeli pokazały się z za mgły dymów, o on stał jeszcze jak przykuty i szklanne nieruchome oczy wbił przed siebie.

W tej chwili przez puste ulice Grenady przesuwał się chyłkiem pospiesznie żyd jakiś młody. Wracał z pola. kędy wśród syczących zgliszczy dopalały się piszczele jego ziomków — leciał okryty kurzawą — oddychał ciężko, gorąco, i w tym oddechu raz było bolesne westchnienie, to znowu mściwy syk gadu, a po czarnych oczach latały dzikie myśli jak błyskawice. Zmęczony dobiegł drzwi jakiejś rudery i uderzył w nie silnie.

— Kto? — zapytał głos cichy.

— Puśćcie — Puśćcie!

„To Izaak“ — rozszedł się szmer za bramą i roztworzono.

Wśród rozwalonych ścian domu siedzieli Izraelici z milczącym smutkiem na twarzach — na podniesieniu stała arka otoczona wieńcem modlących się starców. A wsyscy byli ogłupiali z nadmiaru nieszczęść, co raz wraz w nich uderzały i w szklannych oczach nie znać było dusz ich.

Izaak mówił im o zgonie ich braci, ognistą mową niby nowym płomieniem palił ich serca jak tamtych ciała palono, ale serca spaliły się w popiół, a nie poskoczyły w namiętny poskok bolu lub zemsty. Tylko niewiasty w wielki płacz uderzyły; a mężów oczy nie mogły się zdobyć na łzy, pociechę boleści — siedząc kiwali smutnie głowami.

Izaak spojrzał i odwrócił się od nich, by nie zobaczyli pogardy na jego twarzy.

Wtedy powstał jeden ze starców i mówił:

„Módlmy się bracia! błagalnemi psalmy gońmy dusze tych, co płyną teraz przed oblicze Jehowy z dymami płonących stosów.“

I zaczął starzec psalm i lud cały śpiewał za nim, a na śpiew kapały gęste łzy niewiast, i ponury smutek mężów i śpiew ciężki upadał niemi na ziemię zwątpiały, bo nie miał wiary ni siły podlecieć w niebiosa.

Jeden Izaak nie modlił się. Cierpki uśmiech z ust jego szydził modlitwom Izraela. Więc kiedy pieśń ucichła rzekł:

„Izraelu! dokąd naszej modlitwy i naszego płaczu? Gdybym wiedział, że choć jedna z modlitew moich w piorun się zmieni i roztrzaska pychę nieprzyjaciół naszych; gdybym wiedział, że łzy moje ukamienują tych, co nad bezbronnym ludem trzymają miecz — tobym się modlił każdem drgnieniem członków moich — modliłbym się, by mnie Bóg w modlitwę i łzy zamienił. Ale psalmy nie wybawiły z płomieni ojca mojego. I on się modlił, ale kiedy dym i płomienie przeleciały nad nim, pobladł i zapomniał modlitew; więc patrząc w niego zwątpiłem w modlitwę ale w zemstę wierzę. Wierzę że jest rozkosz w śmierci jeżeli śmiertelnym posłaniem są trupy wrogów naszych, i w takiej śmierci jest trwoga dla prześladowców, jest nadzieja zbawienia.“

„Bluźni, bluźni! — wołali starcy — biada temu co zwątpił w Jehowę i w miłość Jehowy dla Izraela.“

Tak mówili starcy — ale niejednego młodzieńca pierś rozpaliła się pragnieniem zemsty i drgnęło życie, i ci wstawali i szli do Izaaka i kupiąc się około niego słuchali z roziskrzonemi oczyma, co im mówił o zemście.

Ostatni to raz szare oczy wielkiego inkwizytora patrzały na męki ofiar. Pod siedmioramiennym świecznikiem w żałobnym domu arcykapłana stoi czterdziestu żydów i czterdzieści sztyletów trzyma w rękach, i przysięga na świętą księgę zemstę wielkiemu inkwizytorowi.

Późną nocą wracał Tomasz z Torquemady w klasztorne mury. Dziwny strach i nieznane dotąd pomięszanie dygotały nim, kiedy w długich korytarzach słyszał echa własnych stąpań. Przechodził koło kościoła. Przez otwarte drzwi widać było migotliwy blask lampy przed obrazem męki Zbawiciela. Wielki inkwizytor w tej ciszy nocnej uczuł potrzebę modlitwy, a może tylko drżącem wiary bełkotaniem chciał zagłuszyć gryzące myśli. Wszedł do świątyni i ukląkł.

I zdało mu się, że tłumy ofiar przeciągają przed nim, a ich spalone, czarne ciała padając u stóp krzyża wskazują na niego palcem, mówiąc: zbójca! I zdawało mu się, że słyszy jeszcze psalmy żydów poważne, głębokie, a blade usta rozpiętego Chrystusa zdawały się szemrać mu potępienie. Wielkiemu inkwizytorowi zrobiło się straszno w duszy. Zwątpił w siłę miecza, którym chciał nawracać i modlić się nie mógł, bo myśli drżące latały po przeszłem życiu jak światło lampy po obrazach i ścianach. — Ale nie widział jeszcze wielki inkwizytor jak za nim w cieniu kolumn rodziły się jakieś widma ponure, jakieś blade twarze, i błyskiem złowrogim oczów i błyskiem podniesionych sztyletów groziły mu i szły na niego. Wielki inkwizytor obejrzał się i krzyknął i wciskał się w głąb ołtarza; ale widma szły za nim nieubłagane, niewstrzymane.

„Za ludu naszego krew, za dzieci nasze przemocą chrzczone, zbójco zapłatę weź!“

I czterdzieści sztyletów uderzyło w piersi inkwizytora. Zaskowyczał z bolu, zachwiał się i upadł na marmurowe stopnie, lasem sztyletów nakryty.

Ale krzyk jego obudził mnichów z twardego snu i na korytarzach począł się ruch i światła zajaśniały.

„Uciekajmy“ — szeptali żydzi biali z przestrachu i rzucili się ku drzwiom, co prowadziły na miasto. Ale i pod tymi drzwiami słychać już było szmer mnogiego ludu.

„Już nie czas uciekać — rzekł Izaak i zatrzasnął drugie drzwi świątyni, a kiedy zobaczył szkaradną trwogę na twarzach swych ziomków, rzekł:

„Czy wam tak żal tego życia niewolniczego, wśród prześladowań Goimów? czyż tak mała u was wiara w zagrobowe objetnice Jehowy? Za ojców naszych krwawym śladem chodźmy! — Wahacie się? — żal wam rozedrzeć własnych piersi sklepienie? a ja nie namyślałem się ani chwilę zamordować dziecko, perłę moich nadziei, gdy je kapłan Nazareńczyka przemocą do chrztu wydzierał. Zamordowałem je, choć śmiercią jego jam podwójnie umierał. — Słyszycie szczęk siekier o drzwi? Za chwilę Goimy wpadną tu i popędzą was potem jak bydląt stado na straszną śmierć wśród oklasków cieszącego się ludu. — Czekajcie na tę śmierć — „ja nie" — i podniósł sztylet.

„Czekaj, czekaj! — wołali żydzi — my nie mamy siły do samobójczego ciosu; bądź ty naszym ofiarnikiem!"

Wzdrygnął się i zawahał Izaak i dzikiemi oczami potoczył po bladych twarzach swych braci i czytał na nich moc tego postanowienia i okropność jego; ale jęk bram uderzanych siekierami ocucił go i dał mu siłę okropnego bohaterstwa. I chwycił oburącz nagi miecz i z zamkniętemi oczyma ślepy, szalony, rzucił się na rzeź własnych braci i mieczem jak błyskawicą rzucał wśród cichych jęków padających braci. Aż zmordowany upadł i z osłabionych dłoni miecz ze szczękiem wyleciał. — „Dobij, dobij!" prosili go w koło konający, ale on już nie miał siły nawet na samobójczy cios dla siebie. A wrzaski Goimów coraz silniej biły o jego uszy i łoskot walących się bram przerażał go. — Jakto! więc on sam jeden zostanie na pastwę Goimów? sam jeden umierać będzie w ich oczach wśród ich śmiechu? — Nie — nie — ostatkiem sił wyprężył się, podniósł, chwycił za wiszącą lampę i rozlał ogień po szatach i czarnych włosach i wnet mogiła ognia nakryła jego ciało. Roześmiał się radośnie do tej śmierci i z takim uśmiechem zwęglał. A ogień tańcował po ścianach i świętych obrazach i walące się mury świątyni przysypały rozwalinami krwawe ciał czerepy.

IV.

Śmierć wielkiego inkwizytora rzuciła postrach na świętą inkwizycyę i temu winien był Michaelo swoje ocalenie. Osłabiony głodem i mękami leżał dziś w swej izbie na łożu, blady, zmieniony. Spokojny sen rozpromieniał wychudłą twarz jego. Po chwili otworzył oczy i niewyraźny szept poruszył się na bladych wargach.

— Ty przy mnie Francesco? — dobry jak zawsze! o niech ci to Bóg nagrodzi. — Dziwny sen miałem mój miły: śniło mi się że płynąłem gdzieś po nad ziemią w puchy białych obłoków otulony, między światłością gwiazd. I cień mojego ojca i cienie innych zamordowanych stały na gwiazdach jak posągi na pidestalach; wyciągali ku mnie ręce błogosławiąc mój lot w niebo i zdejmując przekleństwo z czoła bladego. I było mi błogo, bardzo błogo!"

„Michaelo—rzekł Francesco — czemu z każdym dniem dusza twoja tęskniejsza za przeszłością, coraz bardziej chłodna dla nowej wiary?"

„Czemu? — rzekł przechrzta i gorzki uśmiech przeleciał mu po twarzy jak błyskawica przez ciemną chmurę. Czemuż kapłani wasi zamiast miłościwych rozmów tortury rozpięli na uściech jako pozdrowienie?" — Tu wziął rękę przyjaciela: „Francesco" czemu ja w ludziach waszej wiary nie znalazłem tego, co było w ich wierze, com w tobie widział i ukochał? Miłość wielka, bezbrzeżna, co stoi u szczytu waszej wiary rwała mnie ku sobie i kazała mi wyrzec się wiary, co znała straszną mściwość i nienawiść nieprzyjaciół. I leciałem ku wam jako ptak ku słońcu, alem popalił tęskniące skrzydła w ogniu zwątpienia, bom nie znalazł w czynach waszych miłości. Czemu tak jest Francesco?"

Francesco milczał, bo nie miał w duszy odcisku na gorzkie słowa Michaela.

„Tyś mi powiadał, mówił dalej Michaelo — że lud waszej wiary to jedna rodzina, której ojcem Bóg! A czemuż jedni deptają po karkach drugich stępem czynów i słów, i błyskiem mieczy godzą na siebie strącając się nawzajem w mętną toń życia, by siebie utrzymać na wierzchu? I z gwaru cierpiących ludów nie wstanie ani jeden krzyk, coby zaprzeczył tym ludom, coby zadał kłam ich istnieniu i potędze? Czemuż, czemu? powiedz mi Francesco — dziś potrzebuję odpowiedzi twojej, dziś milczenie twoje zabić mnie może, — odpowiedz, jeżeli nie chcesz bym krzyż połamał w dłoniach i rzucił ci go pod nogi!"

— „Nie kuś mnie Michaelo bym bluźnił wierze, co mnie wykołysała; bym złorzeczył rodzicom moim, co mi dali tę wiarę. Boję się z pochodnią własnych myśli i rozumowań wchodzić w tajemniczy labirynt naszej wiary, bym się w nim nie zawikłał i nie został odszczepieńcem!

Chciał Michaelo coś odpowiedzieć, gdy w tem na ulicach Grenady stał się gwar i szum i pieśń żydów smutna, boleściwa, uroczysta rozlała się po ulicach.

„Co to jest Francesco? czy znowu wasze mnichy idą czynić krwawe ofiary?" i zerwał się z łóżka i pobiegł ku oknu. — Ulicą płynął czarny tłum żydów w podróżnych szatach.

„Francesco, gdzie oni idą!" zakrzyczał przechrzta.

„Wygnani rozkazem Ferdynanda i Izabelli" — rzekł ponuro i nieśmiało Francesco.

Straszna walka zachwiała duszą przechrzty; zmordowany wysileniem oparł się o okno, w kleszcze dwóch rąk objął skronie, by nie pękły z boleści. Po chwili odjął dłonie i mężkie, poważne postanowienie jakieś paliło się gorączkowym rumieńcem na bladej twarzy.

„Francesco! ja muszę iść z nimi!"

„Co chcesz robić? — krzyż Chrystusa stanął przepaścią między tobą a ludem z któregoś wyszedł, i nie ma dla ciebie powrotu bez odszczepieństwa."

„Nie bluźń Francesco taką mową — rzekł po chwili Michaelo. Taką mową mówią tylko ci, co zbrodnie i słabości swoje kryją pod cienie krzyża. Krzyż nie rozdziela ale łączy narody. Jam się wyrzekł wiary Izraela, alem się nie wyrzekł miłości jego i wyrzec się nie chcę. Ty kochasz Hiszpanię, bo Hiszpania ojczyzna twoja, a moją ojczyzną jest miłość ludu mojego, który bez ziemi tula się wiecznie między narodami; więc mnie tęskno do tej ojczyzny. O! Francesco, w tym ludzie moim boleść niepowszednia i

dziwny urok dumy w tej boleści, co nie od dziś poczęta i nie jutro się skończy. Porzucę piękną ziemię waszą, w której Izrael ni męką straszną ni stokiem bogactw nie mógł okupić sobie spokoju. O biedni my biedni, i nigdzie przyjaźna dłoń nas nie spotka i nigdzie spokojnych grobów dla naszych ciał nie ma."

Mowa jego stawała się coraz prędszą, ogniem dzikim, niezwykłym płonęły czarne oczy, i w ogniu tych oczów niespokojnych schły łzy, co płakały nad niedolą Izraela.

(Dok. nast.)

Rozmaitości.

Nabożeństwo za Lelewela. — Sprostowanie mylnej wiadomości z Krakowa o piśmie „Snopek." — Jaka myśl przodkować pracy naszej powinna? — List z nad Odry.

⨯ W sobotę, tj. 8. b. m., odbyło się w kościele OO. Bernardynów nabożeństwo za Lelewela. Kościół cały był kirem okryty, w środku wspaniały wznosił się katafalk. Tłumy nabożnych były tak liczne, że nie znalazły pomieszczenia w kościele, znaczna część modliła się przed świątynią. Mianowicie mnóstwo było młodzieży: wszyscy modlili się gorąco za duszę męża ze stali, który stać będzie po wieczne czasy jako wzór głębokiej nauki, niezmordowanej i wytrwałej pracy tak rzadkiej u nas, spartańskiej prostoty i skromności, a przedewszystkiem niezłomności charakteru w życiu całem.

⨯ W numerze 15 naszego pisma umieściliśmy w Rozmaitościach nadesłaną nam wiadomość o wydawanym przez młodzież klasy siódmej gimnazyum Nowodworskiego w Krakowie, pisma pisanego pod nazwą *„Snopek."* Proszono nas wyraźnie o umieszczenie tej wiadomości, dla tego ją umieściliśmy—na to jednak odebraliśmy list około 50 zaopatrzony podpisami, w którem uczniowie klasy siódmej protestują przeciwko tej wiadomości, oświadczając że jest fałszywą. Odwołujemy ją więc tem chętniej, że jesteśmy zdania, iż pisma podobne w *gimnazyach* nie są jeszcze na swojem miejscu, odprowadzają bowiem od nauki i wbijają w dumę autorstwa młodych, którzy jeszcze kształcić się powinni, a nadto dają powód władzom szkolnym do sekowania i prześladowania najcelniejszych uczniów. Pisma podobne tylko po akademiach z pożytkiem redagowane być mogą. — Mając zwyczaj niszczyć zużytkowane już rękopisma a mianowicie korespondencye, nie możemy zadosyć uczynić życzeniu panów, żądających jej przysłania.

⨯ O wyjątkowem położeniu Polski zdaje mi się, że każdy dokładnie jest przekonanym — jej stan opłakany pod wieloma względami, jej rozdział wewnętrzny a ztąd wynikła niemoc, jej brak sił żywotnych wyradzający się z obojętności i niechęci do pracy, jest wielkiej części narodu aż nadto znajomy. A jednakowoż poczucie i potrzeba pracy nie wszystkich jeszcze przejęła, nie wniknęła w krew i w kości, nie stała się koniecznością bezwarunkową. Mało jest dziś ludzi usilnie pracujących, a i z tych wielu nie zasługują na naśladownictwo, nie zasługują na wyszczególnienie, bo myśl zniewalająca ich do pracy, zmuszająca do wytrwałości w raz rozpoczętem dziele nie płynie ze źródła szlachetności, ze źródła miłości Ojczyzny i ludzkości, ze źródła nadziei i poświęcenia; ale kieruje się tą prostą a bardzo rozsądną zasadą, bo cechowaną pięćdziesięcioletniem samolubnem doświadczeniem: „pracuj, abyś miał żyć z czego później." Piękna myśl! stosowna bardzo dla Anglika, Niemca, Amerykanina; ale nie dla Polaka, któremu potrzeba potęgi siły niezrównanej, ażeby duchem zgruchotał, co zgruchotać musi. Praca dla chleba—o ładna praca! bo na rękę czartowi, starającemu się z nas zrobić maszyny, aby nas łatwiej okiełznać i zaśmiać się szatańsko, że nas na dudków wystroił. Praca dla chleba — korzystna praca, będąca wstanie wyzuć człowieka z najszczytniejszego uczucia wolności, uczucia miłości narodu, stłumić święty nieskalany głos sumienia dopominającego się o swoje prawa, przygasić zapał młodzieńczy rwiący się do poświęcenia. —

Bo wyobraźmy sobie młodego Polaka, który ukończył nauki prawne i udał się do urzędu z tem przekonaniem, że wtenczas odpowie godnie przeznaczeniu swemu, jeśli będzie miał żyć za co przyzwoicie i wygodnie, kiedy postępowanie jego względem władzy nie sprzeciwi się i najmniejszym jej wymaganiom i zachceniem; a przypuścić następnie musimy, że młodzieniec ten, chcąc podobnym ciężarom zadosyć uczynić, musi nieraz własne swoje zdanie, swój sposób widzenia odrębny odrzucić i niemal zaprzeć się ile razy tego potrzeba wymagać będzie, swej własnej istoty. Tym sposobem przychodzi się z czasem do zupełnego zamiłowania istoty własnej; rodzi się bowiem z wiekiem w człowieku dążność do coraz wygodniejszego życia, nawyknienie bezwarunkowego podlegania władzy dochodzącego aż do uniżoności i podchlebstwa, a ztąd i nieczułość na głos odzywającej się a każdemu człowiekowi wrodzonej wolności sądu i działania. Stając się mężczyzną, staje się zarazem człowiek taki kosmopolitą, stworzeniem bez Ojczyzny, bez serca, w którem wszelkie uczucie godności człowieczej, wszelkie uczucie szlachetności zamarło na zawsze. Kosmopolityzm zaś jako zasada bez spójności i łączności jakiejkolwiek doprowadza ofiarę swoją do otrętwienia i bezwładności, lub do występków szkaradnych.

Oto wynik pracy dla chleba: człowiek się staje albo sybarytą albo zbrodniarzem. Polska nie cierpi ani takich ani takich. Polska namaszcza na swoich dzielących z nią radośnie wspólne losów koleje, wspólne nieszczęścia i wspólne dnie pogodne. Polska to Matka nasza najukochańsza, dla której wszystkie prace, wszystkie westchnienia, wszystkie łzy boleści poświęcić winniśmy, Polska to dar dany światu dla jego poprawy. — Więc nie dla chleba, ale dla narodu pracować należy, dla Polski wszystkie siły wytężać, by spełnić posłannictwo drogiej Ojczyzny. K.

Z nad Odry 6. *czerwca* 1861 *r.*

⨯ Każdy krok na drodze pożądanego rozwoju w piśmie waszem bratnie współczucie, bratnią radość budzi w nas młodych, którzy raz przecie znajdujemy dzwon wzywający całą liczną a rozproszoną gromadę naszej wiary do kupienia się w imię narodowej obywatelskiej pracy, dzwon w który i my sami mamy prawo w razie potrzeby i chęci uderzyć i z echem rozchodzących się jego dźwięków, braciom naszym przesłać myśl, słowo, radę lub uwagę naszą. — Wesoło powiadam drgnęło mi serce gdym czytał ustęp w „Rozmaitościach" jednego z numerów Czytelni (z 11 z. m.), ustęp o zgodzie, o wspólności pracy, o bratniej w nauce pomocy. Któżby z wami dziś nie powtórzył wśród młodego koła uczącej się młodzieży polskiej: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!" W przeszłym liście moim nadmieniłem o ważności jakiej nabrać może organ wasz w obecnym czasie, jeżeli tylko potrzebne do tego warunki się znajdą. Warunki niezbędne do odpowiedniego i jedynie korzystnego rozwoju „Czytelni" leżą z jednej strony w nas młodych, naturalnych współpracownikach waszego pisma, z drugiej zaś strony w samej redakcyi. Możeby kto zauważył że pomijam najważniejsze tak od młodzieży jak od redakcyi niezależne warunki, mogące bardzo łatwo nawet upadek Czytelni sprowadzić? pamiętam o nich: ale je bardzo nisko cenię, będąc przekonanym, że redakcya doskonale potrafi się zastosować do zewnętrznych okoliczności, potrafi pogodzić rzeczywistość z godnem, polskiem postępowaniem.—Nam wielu słów nie trzeba: a to co wypowiadamy, głosimy bez ogródki jasno i odważnie. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" oto nasze hasło, hasło rewolucyjne ktoś powie, zapewne, gotujemy rewolucyę, knujemy spisek, konspirujemy . . . . . przeciw dumie, przeciw bałwochwalstwu tradycyi, przeciw zaniedbaniu pracy narodowej, przeciw naukowej blagieryi. Konspirujemy! — głośno wprawdzie, a czy tam komuś się to podoba nazwać zgubnym lub nieprawym kierunkiem, to nas to mało w naszych posadach poruszy: rewolucya nasza widzi przed sobą jasne zwycięztwo, bo współspiskującym jest sam Bóg przedwieczny i cnota i prawda.

W tej spiskowej robocie naszej nie powinne i nie mogą nam żadne zewnętrzne okoliczności być przeszkodą; chodzi o to raczej byśmy my sami sobie nie stawali się przeszkodą, byśmy o ile się da zgodnie jeden wspólny przyjęli plan pracy, byśmy jednomyślnym wyrokiem zwalili bałwochwalcze pomniki naszego dzieciństwa, byśmy „ramię do ramienia żelaznym łańcuchem" otoczyli ziemię naszą i stanęli dla niej żywym murem obrończym przeciw wszelkim zachciankom czy to germańskiej cywilizacyi czy moskiewskiego zbestwienia, czy przeciw własnej naszej rodzinnej chorobie niepraktyczności, trwożliwości cywilnej, nierozumu politycznego. Że droga prowadząca do tego celu jest długa a mozolna, temu nie przeczę; że jednak z drugiej strony puścić

się nam na nią co prędzej trzeba, że przejść ją musimy i możemy, to rzeczą jest nie mniej pewną. I gdzież ty widzisz tę drogę? ktoś zapyta. — Na wprost twierdzącą odpowiedź się nie odważę, ale odrzeknę również pytająco: czyby pismo w interesie młodzieży i tejże współpracowictwem wydawane nie było w stanie nam ułatwić ogromnie to przejście z naszego dzieciństwa do dojrzałości, czyby nie było w stanie stać się lepiszczem dla skały którąśmy z nas samych wznieść winni?—Ja z mej strony ani wątpię, że myśl ta nie jest utopią.

Ale oto już słyszę głosy poważne, widzę już namarszczone, siwizną namaszczone czoła. Lada chwila wypadnie na nas grom potępienia a co najmniej szyderstwa: „Młodzi niech się uczą, dla nich są książki, niech się nie wtrącają w nieswoje sprawy przed czasem; przyjdzie i na nich kolej, teraz do nas to należy.“

By stosownie odpowiedzieć na te tak fałszywie brzmiące a tak zwyczajne krzyki, należałoby zupełnie odbiedz od przedmiotu. Nie wdaję się więc w dysputę z tymi obrońcami przywileju do czterdziestki przywiązanego, i odpowiadam krótko na każdy punkt z kolei: „Nam młodym dzisiaj mniej niż kiedykolwiek wypada radzić byśmy się uczyli; przy wszystkich trudnościach uczymy się dziś więcej aniżeli wy panowie za owych czasów szczęśliwych, kiedy to u Pijarów w Warszawie cała roczna opłata 24 Zlp. wynosiła, kiedy się nie potrzeba było uczyć historyi polskiej z Pawliszczewa ani powszechnej z Szmaragdowa. Że książki są *dla nas*, o tem nie wątpiemy bynajmniej, jednak korzyści z nich monopolizować nie chcemy i całem sercem pragniemy, by z nich *nie tylko* młodzież korzystać chciała. Co się zaś tyczy rady byśmy się nie wtrącali w nieswoje rzeczy przed czasem, przeciwko temu również nic nie mamy do powiedzenia; chodzi tu tylko o to co rozumiemy przez te „nie swoje rzeczy“? jeżeli ktoś pod tą nazwą rozumie karty stworzone dla próżniaków, hulankę stosowną dla stępiałych ustrojów, jeżeli rozumie niezgody w których osobistość gra główną rolę, o! wtedy przyznajemy, to nie są nasze rzeczy i całych sił użyć obiecujemy by nigdy naszemi się nie stały. — Ale gdy nam ktoś każe się uczyć dziejów ziemi naszej, studyować prawa nasze, badać złe i dobre ubiegłych wieków, a twierdzi że nie do nas należy z tych wiadomości wyciągać wnioski na dziś czy na jutro, twierdzi że nam nie wolno ganić i błotem obrzucić tych występków towarzyskich, do których nienawiść i wzgardę dzieje upadku Ojczyzny w sercach naszych zaszczepiły; jeżeli sądzi że nam wypada badać przyrodę dla zaspokojenia własnej ciekawości, uczyć się medycyny o tyle tylko by przy pisaniu recepty bąka chemicznego nie wystrzelić, a twierdzi żeśmy powinni dać pokój filozofii nauk przyrodzonych, dać pokój wspólnemu koleżeńskiemu porozumiewaniu się w kwestyach naukowych, bo to nie do nas należy tworzyć *ciała uczone*—natenczas odpowiemy mu że zdanie podobne mogło być dobrem za ojców Jezuitów, że zresztą tegoż byli i są zdania wszyscy ex-jeneralowie armii cesarsko-rossyjskiej a obecnie kuratorowie okręgów naukowych; ale że my dzieci XIX. wieku a przedewszystkiem my Polacy, do słuchania rad czy to członków societatis Jesu, czy też Bibikowów, Musinów-Puszkinów, Muchanowów itp. nie uważamy się wcale obowiązani. Myślę więc że nie czekając aż nam tam ktoś da kwalifikacyę na pełnienie obowiązków Polaka, lub też każe na nią czekać do 30. roku życia, winniśmy ani na chwilę nie tracić z oczu celu naszej pracy: obywatelstwa.

Wracam do głównego przedmiotu t. j. do pisma, którem nazwał ważną pomocą w tej pracy obywatelskiej naszej młodzieży. W położeniu naszem każde pismo czasowe ma olbrzymie zadanie, cel ważny przed sobą.—Pozbawieni zbiorowego jawnego głosu opinii, jedyny schron znajdujemy w dziennikach naszych, które z małym wyjątkiem doskonale to ważne swoje stanowisko pojmują. — Jedną wszakże bardzo słabą stronę przedstawia dziennikarstwo polskie: — niewiem czy system rządowy od którego zależemy, czy też własne niewyrobienie, przyczyniają się do braku jawności w pismach naszych. Z brakiem odwagi cywilnej, ze zbytkiem dyplomatycznej grzeczności o której tak doskonale mówi nasz Karol Liebelt, z temi najwyraźniejszemi dowodami naszego niewyrobienia się politycznego i społecznego na każdym spotykamy się kroku. Grzechy te najcięższy robią uszczerbek naszej godności narodowej: jawność tylko bezwzględna pozwoli nam poznać siebie samych, uzbroić nas zarówno przeciwko zewnętrznym jak i wewnętrznym wrogom naszego postępu; jawność tylko zniesie osobiste niezgody, bo przyczyni się do wyrobienia ogólnej potężnej opinii, na której nam dzisiaj niemal więcej zbywa niż na nauce i dobrej woli jednostek; jawność zapobieże tym tak łatwo bo pokątnie rozchodzącym się plotkom, fałszywym potwarczym wieściom, które zakłócają spokój najuczciwszych serc polskich. Ostrożność jest cnotą, dyplomacya w sprawach wewnętrznych kraju, grzechem.

Jeżeli zaś które pismo to pismo dla młodzieży powinno jawność i idącą z nią bezstronność zupełną, za hasło sobie przyjąć. — My młodzi nie skrępowani więzami towarzyskich konwenansów, nie posiadamy instynktu rozróżniania tego co wypada (mówiąc po salonowemu) od tego co nie wypada; ale mamy zato drażliwe sumienie, łatwiej rozpoznajemy co dobre i polskie od tego co wsteczne lub nienarodowe. Dla nas nie ma żadnych tradycyonalnych czy to szlacheckich czy książkowych powag, wszystkiego się dotykamy, wszystko mierzymy, wszystko skalpelem naszego gorącego uczucia i świeżego jeszcze umysłu krajemy, szukając wszędzie idei ludzkiej, pod skorupą talentu, erudycyi, moralności katechizmowej — szukając *człowieka Polaka*. Dopóki to criterium w sądzeniu wypadków, i jednostek przyjętem u nas nie zostanie, dopóki wyrok wszelki wypowiadanym nie będzie, dopóty cała ta zgraja błogosławionych cichych ludzi „dobrej wiary“, którzy to są doskonałymi patryotami — nota bene w własnem przekonaniu tylko — cała owa druga hałaśliwa gromada nieproszonych propagandzistów *alias* próżniaków, będzie bezkarnie psuć ład w naszem kole. Dopóki chór nasz nie zabrzmi jednym wspólnym harmonijnym głosem: alleluja, dźwięk obojętności z jednej a szaleństwa z drugiej strony rozerwą harmonię. —

Pragniemy, domagamy się najusilniej od pisma poświęconego sprawie młodzieży polskiej, jak również od samej młodzieży, by rozsądnie ale z nieograniczoną jawnością odzywały się do nas, by tym sposobem pomagały się nam poznać, ocenić, nawzajem ufać i kochać.

Na „Fundusz dla ubogiej uczącej się młodzieży“ złożyli:

PP. Klemens Mochnacki . . . . 1 zlr. w. a.

Na ręce p. Czesława Pieniążka i Adama Wolskiego w Tarnowie złożyli:

PP.	Henryk Lodzia Rogaliński	5 zlr. w. a.
	Karol hr. Rumerskirch	5 „ „ „
	Felix Starza Morski	5 „ „ „
	Henryk Brodzki	5 „ „ „
	B. Suski	5 „ „ „
panna	Marya Buchowska	2 „ „ „
pani	Marya Treter	2 „ „ „
p.	Kaczkowski Karol	5 „ „ „
„	Prosper hr. Zborowski	5 „ „ „
„	Karol hr. Bobrowski	5 „ „ „
	razem .	45 zlr. w. a.

„Na Obrazy i Szkice“ zaprenumerowali: PP. 152.) Jakubowski. 153.) Ligęza. 154.) Marya Stroka w Tarnowie. 155.) Leopold Brossmann. 156.) Antoni Deissenberg. 157.) Czesław Iżykowski. 158.) Albert Goczałkowski w Podkamieniu. 159.) Ks. Wojtowicz. 160.) Klemens Mochnacki. 161). Marya Treter z Tarnowa. 162.) Ks. Ferdynand Znamięcki z Żurawna. 163—167.) Hr. Lanckorońska w Tarnowie (5 ex). 168.) Rawska. 169.) Włodzimierz Olszewski z Krakowa. 170.) Józef Sąsiedzki z Bełza.

Przedpłata na „Obrazy i Szkice“ trwa aż do wydścia z druku drugiego tomu, później cena będzie podwojoną. Cały dochód z rozsprzedaży przeznaczony na „Fundusz dla ubogiej młodzieży szkolnej.“ Ktoby sobie życzył większej ilości exemplarzy dla rozsprzedania ich w kole znajomych, raczy je zażądać od redakcyi „Czytelni.“ Z wydaniem drugiego tomu musimy się wstrzymywać, prenumerata bowiem idzie leniwo i zebrana dotychczas suma nie wystarcza jeszcze na pokrycie kosztów pierwszego tomu.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.